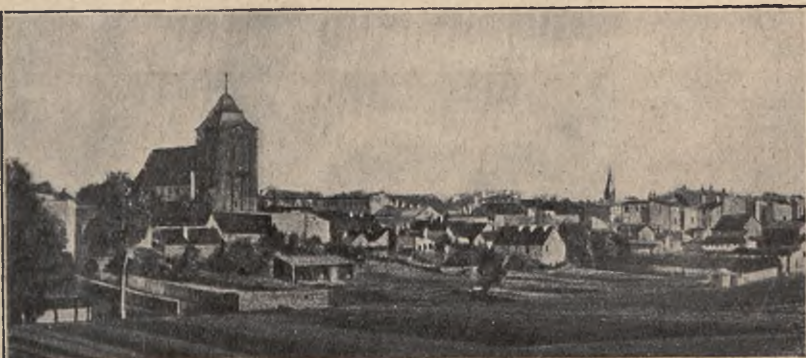
„Głos Narodu“ ilustrowany.

Września.



Widok ogólny Wrześni.

Po całej Polsce przeszedł dreszcz...

Po całej Polsce przeszedł krzyk...

Dreszcz ten i krzyk z piersi milionów, jakby z piersi jednego człowieka wyrwany, okazał — żeśmy jednością, żeśmy całością, żeśmy narodem niepodzielnym, mimo stuletniej niewoli, mimo kordonów, mimo pęt, mimo prześladowań i męczarń — jedną duszą i jednem sercem ożywionym narodem.



Szkoła we Wrześni, pamiętna katowaniem dzieci polskich.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 7 grudnia 1901 roku.



Rynek z ulicą Zamkową we Wrześni

Września — to etap w naszych dziejach.

Mieliśmy w naszej historyi miejscowości, opromienione chwałą i radością: Psie pole... Grunwald... Lublin, gdzie zawarto Unię, Kirchholm, Chocim, Wiedeń... Września — to miejsce pamiątkowe innego rodzaju... Praga, gdzie dzicz Suworowa niemowlęta na piki nadziewała, niezliczone miejscowości na Litwie i Podlasiu, gdzie kobiety i dzieci piekielne znosiły katusze, Kroże, gdzie morderstwa na bezbronnych jękiem swym rozdzierały niebo — etapy to dziejów naszych nowoczesnych, etapy Kalwaryi...

A z Kalwaryi krew spływała, ale z niej wyszli bohaterzy wiary, ale ci cisi bohaterzy zwyciężyli najpotężniejszych w pancerz swej przemocy zakutych katów, ale ci mali, biedni, niepozorni bohaterzy świat zdobyli!

Pierwszy cud z tej Golgoty już spłynął: z otchłani piekielnej, które kat przed nami otworzył, wyszliśmy zdrowszym, niż kiedykolwiek, bardziej zjednoczonym narodem. I silni tem poczuciem, jak opoka twardy i nienaruszony mając lud, jako podstawę, stawiamy czoło wszystkim burzom, wszystkim katom, wszystkim przeciwnościom... Nie zginęła i nie zginie!

* * *



Kościół we Wrześni.



Pomnik poległych w bitwie z Prusakami pod Wrześnią i Sokołowem dnia 2 maja 1848 r

Września w dziejach naszych porozbiorowych zapisała się już raz krwawemi zgłoskami.

Działo się to w r. 1848, w roku tym nadziei i wiosny ludów, do której zdeptania niemało się Prusy przyczyniły.

Dnia 2. maja garść powstańców polskich przymaszerowała z Miłosławia do Wrześni, wycieńczona głodem, marszem i bojem. Tu napadł na nią generał pruski Hirschfeld. Nasi stawiali mu czoło z ogromną, rozpaczliwą odwagą; najwięcej odznaczyli się kosynierzy. Dwukrotnie natarli na przeważające siły nieprzyjaciela, nareszcie wpadli na folwark sokołowski — jakby w pułapkę. Tu rozegrały się sceny, godne — Prusaków. »Jeden z oficerów polskich zawołał: *pardon*« i kazał swoim ludziom rzucać kosy. Prusacy — pisze historyk — pewni już zwycięztwa nad bezbronną garstką, zaczęli na piętnaście kroków ogień. Zginęli oficerowie-emigranci Krzysztofor, Wołoszyński, Drozdowski, którzy po długiem tułactwie i cierpieniach tu wreszcie położyli życie za sprawę. Nikt nie ocalał. Choć ciężko ranny z ziemi się podnosił, dobijano go uderzeniami kolby, lub pchnięciem bagneta. Równocześnie oderwany od reszty oddziałek kosynierów, ze 30 ludzi może złożony, szukał schronienia w owczarni. Wtedy Prusacy zapalili zabudowania dworskie i obstawili płonące budynki kordonem bagnetów; kto się ży-



Ks. Dr Floryan Stablewski,
Arcybiskup dyecezyi Gnieźnieńsko-Poznańskiej.



Umarł

Ks. Biskup Andrzejewicz,
Sufragan Gnieźnieński.

wcem nie spalił, ten, wybiegając z płomieni, na bagnet się nadział.

Obraz pomnik poległych dajemy w tym numerze. Cześć bojownikom!

* *
*

Września ma więc swoje tradycye męczeńskie.

Tradycye, które przechodzą w krew, przechodzą z ojca na syna — co więcej: z warstwy na warstwę społeczeństwa... Gdy w r. 1848 walczyli i życie za ojczyznę w ofierze nosili przeważnie emigranci, szlachta, częściowo tylko mieszczaństwo — dzisiaj zdrowie, mienie, wolność na ołtarzu ojczyzny składa lud cały...

To nasz cud, to nasza podstawa, to nasza wiara i gwarancya przyszłości!

Taki owoc wydają morderstwa popełniane na bezbronnych żołnierzach, katusze gromadnie zadawane dzieciom, więzienia, zapełniane matkami!

Pamiętacie parabolę z »Dziadów«?

»Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Niechciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu;
I rozkazał aniołom zboże przysposobić,
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.
Przyszedł Adam, znalazł je, obejrzał z daleka,
I odszedł; bo nie wiedział co ze zbożem robić.



Ks. Biskup Likowski,
Sufragan Poznański.



Mecenas Bernard Chrzanowski,
eden z dzielnych obrońców polskiej młodzieży w procesach hakatystycznych w Poznaniu.



Z Wrześni. — Dzielna kobieta, p. Gadzińska.

Aż w nocy przyszedł dyabeł mądry i tak rzecze:
Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta.
Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość docieczе.
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Naplwał i ziemią nakrył i przybił kopytem;
Dumny i rad, że boże zamiary przeniknął,
Całem gardłem rozśmiał się i ryknął i zniknął.
Aż tu wiosną, na wielkie dyabła zadziwienie,
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosy i nasienie«.

I teraz z pod kopyta szatańskiego wyrasta kwiecie i nasienie...

Będzie z niego życie nowe i tryumf nowy.

Przyszłość do nas należy!



Z Wrześni — Grupa oskarżonych przed trybunałem gnieźnieńskim dnia 21 listopada 1901 r.

O Morskie Oko.

(Ciąg dalszy).

Koło zaś samo, czy i jakie inne poczyniło kroki? Niewiadomo. Więc żadnych nie poczyniono, bo gdyby je poczyniono, toby się pochwalono. Jeżeli zaś poczyniono, to już chyba kroki zgoła niedostateczne skoro żadnego niema skutku -- *eventus magister!* Bezprawie trwa — społeczeństwo wie tylko to jedno i nic ponadto!

Interpelacyę w sprawie najazdu wniósł p. Daszyński.

Nie potrzeba wymieniać przelicznych powodów, dlaczego ta interpelacya skutku mieć nie będzie. Jednym z tych powodów jest właśnie i ten: że Koło interpelacyi w sprawie najazdu nie wniosło i dyskusyi nad nią nie żądało.

Członkowie parlamentarnej Komisyi Koła na zapytania odpowiadają: że jeszcze nic nie wiedzą o nocie p. Szella, której treść ogłosiła »Ilustracya Polska« i o jej znaczeniu nie wiedzą, nie czytali o tem w dziennikach, a w Komisyi nic nie słyszeli; czy się co dzieje, lub ma dziać, nie wiedzą. Posłowie po większej części dotychczas sprawy i zwrotów w położeniu nie znają. Słuchają o tem jak o żelaznym wilku, albo ciągle jeszcze jakby o komarze, z którego ktoś, gdzieś, jacyś agitatorzy słonia chcą robić. Nie znają wcale sprawy, więc sobie też ze znaczenia jej wcale sprawy nie zdają; dzienników nie czytują, sprawa im spokoju, ani umysłu, ani sumienia nie mąci; zresztą zdają się na prezydyum, na Komisyę parlamentarną; niech sobie prezesi i komisarze głowy suszą, to ich rzecz, posłowie zwyczajni nie potrzebują się męczyć.



Konrad Rakowski sekr. Tow. Prof L. Wyczółkowski. Ferdynand Ruszczyc. Prof. Axentowicz, Prof. J. Stanisławski.

Otwarcie Wystawy Towarzystwa „Sztuka" w Sukiennicach dnia 22 listopada. Grupa artystów w głównej sali.

(patrz artykuł »Z Teatru i ze Sztuki« na str. 270).

A prezes Ekscelencya Jaworski powiada: że nie wie, gdzie mu głowa stoi; że nie ma ani chwili spokoju; a niech sobie Daszyński interpeluje; a niech sobie dzienniki drukują co im się podoba... »ja nic nie wiem, nie mam czasu, dajcie mi spokój«. Powiedział też Ekscelencya prezes, że będzie sąd, a skoro będzie, to go już nic innego nie obchodzi, trzeba czekać na sąd; sąd to już wszystko.

Pozwalamy sobie zwrócić uwagę Ekscelencyi Prezesa na to, że w tej sprawie sąd, to nie wszystko; że sprawa używalności, że zabór, że faktyczne posiadanie, które całe lata trwać może, jakeśmy to już wyłuszczyli — są to sprawy odmienne, osobne, zgoła pod sąd nie podpadają; że zabór, faktyczne posiadanie to jest prejudykat, że należy odrębnie, poza sądem sprawy te traktować. My tu Ekscelencyi Prezesa wcale nie oskarżamy — jako żywo — przeciwnie, podziwiamy jego ruchliwość i wytrwałość i takt, liczne jego cnoty jako statysty. My chcemy tylko i na tej drodze, zapomocą czernidła drukarskiego rozmawiać z Ekscelencyą, i zapytujemy o to, czego zgoła zrozumieć nie możemy: dlaczego Koło polskie nic w tej sprawie nie działa?



Z Wystawy Tow. »Sztuka« w Sukiennicach. U wejścia do pierwszej sali Obraz Szymanowskiego »Święty Boże«.

I pozwolimy sobie zdradzić przed całem K o ł e m poufnie jedną tajemnicę: oto społeczeństwo ośmiela się twierdzić i wyznawać, że te tysiączne parlamentarne w Wiedniu ambarasy, kuloarowe trzęsienia ziemi, a nawet cały austryacki parlament, uważa za rzeczy nierównie mniejszej wagi, niż sprawę o M o r s k i e O k o. Wiedeńskie burze w szklance wody przeminą, bywały już groźniejsze, przeminęły; państwo się ostało. Ale sprawa o M o r s k i e O k o, to nie jakieś tam przesilenie, nie awantury obstrukcyjne, nie ten, czy ów gabinet — ale s p r a w a o c u d o w n y k a w a ł p o l s k i e j z i e m i. Jeżeli tę sprawę zaniedbamy, jeżeli przegramy, to klęska na wieki klęską pozostanie, i nie tylko klęska, ale i h a ń b a. I nie pocieszy nas żadne głosowanie w Wiedniu, żadna teka ministeryalna, żadna większość, nawet żaden kanał spławny nas nie pocieszy, klęski nie odrobi, hańby nie zmaże. Więc społeczeństwo nie chce, żeby się złe stało, nie chce, żeby wina na kogokolwiek spadła — żąda więc obrony skutecznej i żąda wiadomości o tem, czy i kto taką obronę prowadzi, czy nie?!

Ekscelencya hr. Wojciech Dzieduszycki wyraził się: »mógłbym mówić, ale muszę milczeć«. Nie wiemy dlaczego p. hrabia musi milczeć, żałujemy tylko, że musi, i zapytujemy: co się przecież za tem milczeniem kryje? Czy się działa? Czy nota p. Szella została odpartą? Czy prezydyum K o ł a zna to odparcie? Czy rząd austryacki zażądał cofnięcia żandarmów węgierskich i strażników pruskich? Co K o ł o zamyśla począć wobec faktu, że zabór trwa? Czy Koło nawet interpelacyi nie wniesie? Czy przedłożenia Izbie aktów nie zażąda? Czy nie wezwie całej Izby do obrony — już nie naszej sprawy — ale honoru państwa oraz zasad publicznego prawa i najzwyklejszej etyki? Czy Koło nie odróżnia sądu, sprawy o własność — od nowej sprawy o u ż y w a l n o ś ć i p o s i a d a n i e? Czy p. hrabia m u s i tem wszystkiem się n i e zajmować? Musi poić się goryczą? Musi godzić się na inercyą? Nie żądamy, żeby p. hrabia mówił, skoro milczeć musi, ale chcemy widzieć czyny, skutki, bodaj usiłowania, ale męskie, potężne, jawne, nie zakulisowe, nie z partesu, nie od niechcenia, nie wysoko i głęboko dyplomatyczne. Społeczeństwo nasze nie ufa żadnej dyplomacyi, podejrzywa każdą tajemniczość, nie spodziewa się niczego po przymuszonem milczeniu, lęka się zbyt wielkiej mądrości, obawia się, że milczenie K o ł a, jest płaszczem, który wstydliwie rany zakrywa.

Ktoś, świadomy rzeczy wyjaśnia w »Tygodniku ilustrowanym« zagadkową inercyę i tajemniczość K o ł a w ten sposób: że pomyślne dla nas, lub nie pomyślne zwroty w sprawie o M o r s k i e O k o zależą od tego, czy gabinet stoi silniej lub słabiej, czy parlament się dźwiga, czy wali, czy Węgry mają sposobność do większej, lub mniejszej buty i perfidii. Otóż to jest rdzenny błąd i śmiertelny grzech popełniany ciągle, od lat już w tej sprawie. Koło nie ma ani czasu, ani odwagi, ani w ogóle nie może wyrobić w sobie tego psychologicznego stanu, któryby je usposobił do należytego prowadzenia sprawy o M o r s k i e O k o. K o ł o czyni zależnemi swoje kroki w tej sprawie od wszelakich, dziwacznych, codzień, niemal co godzina odmiennych konjuktur. Koło nie może zdobyć się na to poznanie, że sprawa o M o r s k i e O k o nie powinna stać w żadnym związku z przedlitawsko-zalitawskiemi kłopotami, że jest to sprawa całkiem odrębna, narodowa, prawna, a zarazem państwowa, sprawa bezwzględnie narodowa i bezwzględnie państwowa, która też wymaga bezwzględnej obrony. I ten charakter sprawy, że jest p a ń s t w o w ą, pozwala właśnie na bezustanną apelacyę do Korony, na bezustanne wzywanie całej Izby posłów i całej Izby panów do energii w obronie prawa, honoru, granic i niepodległości państwa przeciw Prusakom i Węgrom, którzy sobie po prostu drwią z Austryi. Ten państwowy charakter sprawy uprawnia do domagania się nie życzliwości, nie dobrej woli, nie łaski ze strony dzisiejszego, czy jutrzejszego — gabinetu — ale energicznej akcyi, bezwzględnego obstawania przy prawie, represyi przeciw każdej samowoli i gwałtowi, odparcia natychmiastowego wszelkich kruczków, postawienia żandarmów cesarskich przeciw żandarmom królewskim. Tego się domagać ma K o ł o p o l s k i e prawo i obowiązek, do tego domagania się powinno pozyskać całą Izbę. — Tak, a nie inaczej powinno się postawić nawet pod groźbą stanowczej opozycyi — bo nie idzie tu, powtarzamy, o jakieś przedlitawskie konjunktury, ale o honor państwa, o samą ideę prawa, a dla nas o c u d o w n y k a w a ł p o l s k i e j z i e m i, o nową k a t a s t r o f ę, którą nam spółka prusko-węgierska gotuje.

W ostatnich dniach na inicyatywę p. Rottera wniosło K o ł o interpelacyę n i e o n a j a z d, n i e o n o t ę p. S z e l l a, n i e o trwanie gwałtu, n i e o prejudykat ze strony prusko-węgierskiej, który sprawia, że s i ę z g ó r y z p o d p r z y s z ł e g o w y r o k u s ą d u u s u w a j ą mówiąc »nie ustąpimy, bo używamy i posiadamy« — ale wniosło Koło słodką interpelacyę: czy i jaki rozkaz wydano austryackim żandarmom? Taka interpelacya — to tyle co nic, owszem g o r z e j n i ż n i c. Jeżeli — i cokolwiek p. Körber kiedyś odpowie na ten jeden szczegół, to będzie znowu w najlepszym razie tylko piernik i znowu bielmo na oczy. Nie o ten jeden szczegół idzie, ale o całą sprawę. I nie pomogą już żadne interpelacye; jest to broń szablonowa i stępiona. Sprawa jest dla nas tak wielką, że wymaga innej broni. K o ł o jest uprawnione i obowiązane, bez względu na kalendarz parlamentarnych rozhoworów — s t a w i a ć w s p r a w i e o M o r s k i e O k o w n i o s k i n a g l ą c e, spowodować rozprawę w Izbie, żądać przedłożenia aktów, wyjaśnić co podpada pod sąd, żądać cofnięcia gwałtu i prejudykatu, wywrzeć nacisk przez uchwałę całej Izby. Bez takiej akcyi nic się nie osiągnie, i jeżeli Koło takiej akcyi nie rozwinie, to słusznym będzie żal społeczeństwa i narzekanie, że jego najdroższe, nie prowincyonalne, ale ogólno narodowe interesa nie są należycie bronione; słusznem będzie narzekanie na brak energii i odwagi i na dziwne jakieś, wodnisto-zimne pojmowanie sprawy przez Koło polskie.

Dok. nast.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Pamiętnika panny Hali — jej „Pa“ i „Ma“

Ciąg dalszy.

Dopiero jak mu „Pa“ powiedział bardzo brzydko o konstytucyi, i, że da mu w m... to się zabrał i wyniósł do innego przedziału.

Ja myślałem, że za granicą to i żydzi są grzeczniejsi i cywilizowani!... no bo, żeby zdejmowali buty i ubranie, przy damach!... naprawdę, ale u nas i chłopby tego nie zrobił!...

Kuzynek Jaś nas odwoził, ale już powrócił.

Nie, nigdybym nie przypuszczała, żeby on był taki bezwstydny, nigdy; — porzyczył od „Pa“ sto rubli!... To coś okropnego!

„Pa“ się zirytował, bo podobno i tamtym musiał pożyczyć!!!

To wprost nie do uwierzenia! tacy przyzwoici, tacy dekadenci i pożyczają pieniądze! — Nie mam słów jakie to obrzydliwe!

A jeszcze „Pa“ powiedział, że pan Hyacynt, to nie tyle jest dekadent, ile zwyczajny szajgec! — Nie, nigdy w to nie uwierzę — nie...

Jezus, umarłabym z obrzydzenia... z pewnością „Pa“ to mówił przez złość!

Bo, że kuzynek pożyczył, to nic dziwnego, wyręczył tylko swoją matkę.

Mój Boże, jak to nikomu ufać nie można, nawet prawdziwym dekadentom!

Ale pan Henryk, toby od nikogo nie pożyczał z pewnością!... Zarazbym z nim zerwała. Napisałam do niego wyjeżdżając z Krakowa; ach jak to się dobrze stało, że mu nie wspominałam o panu Hyacyncie! —

. . . .

„Pa“ się znowu zirytował: bo dla oszczędności, że tutaj fiakry są bardzo drogie, wziął przewodnika i musiał mu za cały dzień zapłacić pietnaście guldenów.

Ale miasto jest cudowne! Jakie wystawy, to naprawdę, ale nawet nie marzyłam, żeby mogły być takie śliczne...

A co za przepych! jakie stroje jakie kapelusze — to zupełnie jakby żurnale mód chodziły po ulicy... a jacy szykowni są tutaj panowie! Naprawdę ale nawet ci co powożą fiakrami, to tak zupełnie wyglądają jak nasi hrabiowie... Dobrzem się im przyjrzała w przeszłym roku, na corso w Alejach Ujazdowskich!

I fiakry takie szykowne i zupełnie jak prywatne powozy wyglądają.

Bo u nas, naszemi dorożkami, to już zupełnie jeździć nie można!

„Ma“ mówi, że uczciwe kobiety nie jeżdżą na gumach, no a temi strasznemi jednokonkami, to znowu nikt szanujący się nie pojedzie.

Byliśmy w Burgu, w muzeum cesarskiem.

Obrazów małośmy oglądali, bo przecież we Włoszech zobaczymy piękniejsze... ale... naprawdę to zupełnie nierozumiem dla czego ludzie tak się zachwycają temi obrazami?...

Prawda, że to teraz bardzo modne, ale...

A jaki ja tam kapelusz widziałam! z samych czarnych, ogromnych piór strusich poprzepinanych bukiecikami fiołków, no cud prawdziwy!...

Ale w tem muzeum są i śliczne rzeczy, a szczególniej te złote, naprawdę szczero złote serwisy cesarskie, i tyle innych kosztowności!

„Pa“ powiada, że to złoto — to blaga! Ale jakżeby, żeby cesarz nie mógł mieć szczero złotych serwisów!.

. . . .

Całe popołudniu oglądaliśmy wystawy!...

Cudy, same cudy, ale już mnie tak nogi bolą!...

Pan Henryk pisał dzisiaj, ale on już nudny z temi radami i czułościami... to dobre w Warszawie, ale nie tutaj, za granicą....

Idziemy wieczorem do Ronachera, do opery nie, bo za droga, i „Pa“ mówi, że w każdem mieście włoskiem, są lepsze i tańsze...

Strasznie się cieszę, bo nigdy jeszcze w takim teatrze nie byłam, a tyle mi o tem kuzynek opowiadał!...

Kupiłam sobie „princesów“ zapalę po teatrze, jak „Ma“ i „Pa“ pójdą spać! Przecież u Altenberga, to wszystkie panie palą „princesy“.

A „Ma“ kupiła mi białą flanelową suknię, ogromnie tu wszystko tanie i takie szykowne! że to coś okropnego!...

Wieczorem, po Ronacherze. — „Pa“ poszedł do kawiarni na gazety, mówił, że musi sprawdzić notatkę radcy.

Ach! ten Ronacher, to wprost cudowny! Ale zupełnie niepodobny ani do teatru Rozmaitości, ani do krakowskiego — ani się umywają do niego!

Już dla tego samego warto było przyjechać do Wiednia! Nigdy w życiu, nawet na swoich zaręczynach nie bawiłam się tak doskonale! A „Ma“ powiada, że to jeden skandal i obraza Boska!

Co tam mogło być nieprzyzwoitego?... no, ten zapach piwa, sosów i schabu z kapustą, przyjemny nie jest, to prawda — ale żeby aż obraza Boska!... to już dziwaczenie i...

Najpierw śpiewała jakaś niemka i tak wygorsowana, że aż całe łopatki było widać, a na przodzie to....

A potem tańczyli, grali, śpiewali; były i psy tresowane, i niedźwiedzie, i akrobaci, i żongler jak u nas w cyrku, i balet i clowni bili się po twarzach ogromnie zabawnie... a potem tańczyli jacyś francuzi!

Jezus! trochę się wstydziłam patrzeć, bo tak fajtały nogami, że... że myślałam iż im wszystko pospada!...

Aha! to taki kankan! tylko tyle!

Nieraz czytałam o nim w romansach, ale myślałam, że to coś naprawdę nieprzyzwoitego...

E!... tak fajtać nogami to i jabym potrafiła...

. . . .

Sprobowałam nogami troszeczkę... tylko że się krzesło przewróciło i „Ma“ się przebudziła zaraz...

. . . .

Paliłam te „princesas“ ale tak mi jest strasznie nied...

. . . .

Myślałam, że już umrę... nie, nigdy już, nigdy nie będę paliła nawet „princesów“, to obrzydliwe...

Czy mężczyznom zawsze się tak robi po paleniu?...

. . . .

„Pa“ powrócił ale jakiś zły!

Aha, mówi do „Ma“ że jedziemy już jutro rano, że niema czasu na siedzenie w Wiedniu, zobaczymy go z powrotem lepiej.

A myśmy jeszcze nie były na Mariahilferstrasse!... ani w żadnem panopticum!

Przynajmniej nie będę potrzebowała pisać długiego listu do pana Henryka, — powiem w karcie, „Pa“ tak spieszył, że czasu nie było...

Jeszcze mi jakoś nie wyraźnie...

. . . .

Dopisek »Pa«. — Zły jestem, wściekły jestem psiakość nóżki baranie!

Ale ten radca mnie urządził, no!...

Byłem tu i owdzie, aby to co mi napisał — sprawdzić, no nie źle, nie; kawiarnie jak kościoły, a piwo owszem, dobre.

A po teatrze walę do tej „Szpitzer cafe“.

Myślałem, że istotnie zobaczę co ciekawego, bo radca tak mrugał... a może nawet tak troszeczkę... no uczciwie pikantnego...

A tam brudno, piwo pod psem i ostatnie wybiorki... wywłoki...

Wsciekły byłem, zwymyślałem przewodnika, co wlazło...

Poszliśmy na lepsze piwo... ale tam tylko wino sprzedawali...

Poznałem się z rodakami, bycze facety; postawili szampańskie, no jakże, postawiłem i ja raz i drugi!... Koniec końcem pękło sto guldenów psiakość nóżki baranie...

Podła dziura ten Wiedeń!

Pieniędzy wydałem masę, a nic pożytecznego nie widziałem.

Blagierskie miasto, jutro już jadę dalej. —

Deszcz, błoto, zdzierstwo i blaga na każdym kroku.

Wchodzę do muzeum... marmury, marmury! Myślę sobie, tutaj nie blagują, cesarskie! — Ale, że to człowiek bywał nieraz taksatorem przy wystawianiu domów na licytacyę... więc się przyglądam uważnie — stiuki nie marmury, blaga!...

Kogo? mnie, Jana Gwalberta chcą okłamywać? Oho, jeszcze się taki nie urodził. —

Oto i wszystko!

I tylko trzy rzeczy godne zastanowienia widziałem:

Ronacher!

Miotły na kołach do zamiatania ulic!

Automat Bar!

Wchodzę tam, nikogo; wtykam dziesiątkę, zakręcam kuraskiem leje się śliwowica; wtykam drugą — wysuwa się bułka z szynką; wtykam trzecią — jest piwo! Psiakość nóżki baranie, te szwaby to mają kiepełe.

A Ronacher — to jest instytucya! Takie powinno się wszędzie urządzać, bo to i moralne i człowiek się rzetelnie zabawi, — i spokojnie zje kolacyę!... Nie tak jak w tych teatrach; płać, duś się, wytrzeszczaj oczy — a tam ci pokazują, zdrady, miłości, okropności, że w antrakcie piwa nie można nawet przełknąć... i takie zgorszenia pokazują, że dziewczyny nie można brać na to!...

. . . .

3 kwietnia.

W drodze do Włoch na jakiejś stacyi.

Tak mi jest smutno, takbym płakała, że to coś okropnego...

Same nieszczęścia nas dzisiaj prześladują.

Najpierw zaspaliśmy trochę.

Potem, zapomniałam pudełka z kapeluszem, „Pa“ musiał już z dworca wracać do hotelu; ledwie zdążył, że już nie mieliśmy czasu zjeść śniadania...

Ja to wszystko przeczuwałam, bo śniły mi się ryby ze śliwkami, a to znaczy zawsze jakieś przykrości, nieraz to już sprawdziłam!

Mówiłam zaraz o tem „Ma“ ale powiedziała, „że czasem to nic nie szkodzą ryby ze śliwkami“ — a tylko jak się śnią ryby na amarantowo, to może być źle!...

Być może, ale i moje ze śliwkami sprawdziły się!...

Boże! to już tak daleko od Warszawy, a ja jestem taka nieszczęśliwa...

Takie mam czerwone oczy, i taka jestem mizerna!... Muszę się trochę przypudrować! O, ale jemu tam dobrze, chodzi z kolegami na biby, albo i umizga się i... wcale nie jest nieszczęśliwy!

Ach, jacy egoiści są ci mężczyźni, to coś okropnego!...

. . . .

Tak było pełno, że ledwieśmy miejsce znaleźli.

Także spotkanie! W tym samym przedziale jechał ten żyd, którego „Pa“ przed Wiedniem wyrzucił, bo buty zdjął...

Niegodziwiec! Tych wszystkich żydów tobym kazała wsadzić już nie wiem gdzie!... Bo to wszystko przez niego!

C. d. n.

W kleszczach „sprawiedliwości" pruskiej.

Dr Kazimierz Rakowski w więzieniu i jego przygody więzienne.

Dokończenie.

Na trzeci dzień zawezwano mnie do sędziego śledczego. Akta z Poznania nadeszły. Sędzia mi oświadczył, że za mną były wysłane trzy listy gończe (dlaczego nie sześć?) i to w sprawie artykułów ogłoszonych w »Pracy«.

Odpowiedziałem na to, że nie pojmuję logiki tych panów w Poznaniu. Gdym mieszkał w Poznaniu i mogli mieć mnie każdego dnia — wtedy mnie właśnie wydalili z granic państwa, a po wydaleniu przymusowem chcą mnie znowu złapać.

— Co do artykułów, rzekł sędzia, to są artykuły »Vestera«. Czy pan jest autorem?

»Nie« odpowiedziałem »i proszę o dowody, że kłamię«.

W aktach jest drukowane oświadczenie Dra Szymańskiego, redaktora »Orędownika« w Poznaniu, że »Vester« — to pan.

»W takim razie niech to indywiduum udowodni swoje twierdzenie; ja nie mam potrzeby udowadniać, że on kłamie. Zresztą nazwałem go publicznie denuncyantem i w prasie polskiej znalazł się jeden tylko człowiek, który stanął w obronie jego przeciwko mnie. To dostatecznie charakteryzuje wartość tego twierdzenia«.

Spisaliśmy formalny protokoł, w którym kategorycznie zaprzeczyłem, abym był identyczny z »Vesterem«.

Wracałem do więzienia z dobrą miną.

Mój sąsiad, wysłuchawszy całej sprawy, taką mi dał radę:

»Napewno więc obciążającym Pana świadkiem będzie ów Szymański, któregoś pan nazwał denuncyantem?«

»Bezwątpienia«.

»Powiedz pan to przed sądem, a sąd nie będzie mógł go zaprzysiądz, bo działał on z pobudek zemsty«.

»Dobra rada« pomyślałem sobie — i napewno też tak zrobię z owym Szymańskim.

Po badaniu u sędziego śledczego odzyskałem już niemal wesołość. Więc to denuncyacya Szymańskiego! Prawie mi było miło, że tak sądownie stwierdzony dowód będzie mógł świadczyć za mną przeciw inwektywom »Przeglądu Wszechpolskiego«, którego redakcya od szeregu miesięcy obrzuca swym jadem mnie i mego przyjaciela p. Biedermana. Przeciwnicy moi cieszyć się mogą, że na parę tygodni jestem zamknięty, ale przecież skazany być nie mogę.

Mojem wielkiem zmartwieniem była już teraz tylko kwestya jedzenia. Pokazało się bowiem, że pieniądze, które kazałem sobie nadesłać do Wrocławia w tym celu, nie zostały wręczone, lecz odeszły z powrotem. Więzienie nie przyjmuje przesyłek pieniężnych. Postawiłem więc wniosek, aby mi wolno było tymczasowo rozporządzać pieniądzmi, które mi odebrano z portmonetką. Sędzia się zgodził — przeszło parę dni, aż wreszcie się pokazało, że pieniądze te odeszły z moimi papierami do Poznania. Dzień za dniem przechodził, jadłem z kotła. Wreszcie mi powiedziano, że pieniądze mają być wprost nadesłane do jakiejś »Frau Schlitt, Freiburgerstrasse 154, która dostarcza prywatnego pożywienia. I znowu przeszły 2 dni.

Dnia 20. października, w pięć dni po mojem uwięzieniu, zawiadomił mnie dozorca, że »Frau Schlitt«, która dostarcza więźniom prywatnego pożywienia, otrzymała telegraficznie dla mnie pieniądze z Poznania; nazajutrz, t. j. 21. miała przyjść po południu, aby z dyrekcyą więzienia omówić tę kwestyę, a od 22. miałem zatem otrzymywać wikt własny — za 1 markę i 50 fen. dziennie. Wikt ten składać się miał: rano — ze szklanki kawy i z bułki, w południe — z zupy, mięsa i jarzyny, wieczorem — z bułki, lub chleba z mięsem i piwa lub mleka.



Dr. K. Rakowski

W pięć minut później, wszyscy moi sąsiedzi z prawej i z lewej strony już wiedzieli o tej wielkiej nowinie. Nie upłynęło i kwandransa, a z dołu usłyszałem stukanie w moją podłogę. To sąsiad mój z dołu, stanąwszy na stoliku, stołkiem pukał w sufit, dając mi znak, abym przyłożył ucho do podłogi. Słucham więc, a on mi mówi: *Lassen Sie sich gut schmecken, Sie Glückspiltz!* (Dobrego apetytu ci życzę, szczęśliwcze!).

Nie potrzebuję dodawać, że serdecznie mu podziękowałem za dobre słowo. Jakem się dowiedział od wszystkowiedzącego mego sąsiada z prawej strony, był to jakiś włóczęga, który został zaaresztowany za żebranie, ale nie chciał policyi powiedzieć swego nazwiska i od trzech miesięcy siedzi w więzieniu. Tak mnie ucieszyło, że ten *gentleman* taką opozycyę robi policyi i sądom, że byłbym mu za ten akt cywilnej odwagi uścisnął dłoń, naturalnie — przez sufit.

Rzecz doprawdy zastanawiająca, jak szybko człowiek, znajdując się w więzieniu, wchodzi w stosunki ścisłego, że się tak wyrażę — koleżeństwa ze wszystkimi współwięźniami bez względu na ich przewinienia, zbrodnie, pozycyę towarzyską, wykształcenie i t. d. Wszyscy bez względu na różnicę przestępstw i winę czują się niejako sprzymierzeńcami w cichej walce przeciwko dyrekcyi więziennej, prokuratorowi, sędziemu śledczemu, jednem słowem przeciw całemu porządkowi społecznemu, którego te instancye są wyrazem. Całe to więzienne społeczeństwo jest ożywione jedną tylko myślą: jakby tu unicestwić, sparaliżować wszelkie zamiary tego drugiego, wolnego społeczeństwa.

Oto maleńki przykład: pewnej nocy, a raczej wieczoru, po zgaszeniu światła, słyszę z lewej strony pukanie, zbliżam się więc do ściany i daję znak pukaniem, że słucham i nadstawiam bacznie ucha. Mój sąsiad mówi: Czy pan już powiadomił swoich świadków o tem, co pan zeznawał u sędziego śledczego?

»Odpowiadam, że nie, bo i jakżeż ja biedny zamknięty w czterech ścianach mogę dać wiadomość inaczej jak przez ręce tegoż sędziego. Panie. Moi — świadkowie — dodaję — nawet nie wiedzą, o co jestem oskarżony.

»To niech sobie pan obmyśli wiadomość w krótkich słowach, a jutro już będą ją mieli ludzie, których adresy pan wskaże«.

»Jakto?« zapytuję ze zdumieniem.

»Właśnie dopiero co zawiadamiają mnie koledzy z dołu, że jeden z więźniów karnych z parteru jutro zostanie wypuszczony na wolność, więc może załatwić interesy będących w śledztwie k o l e g ó w«.

Podziękowałem za dobre chęci, bo informowanie przyjaciół w Poznaniu było zbyteczne Przez ile rąk, i to jakich rąk, zwrócone ku mnie pytanie przejść jednak musiało, zanim z parteru, z oddziału więźniów karnych przeszło na drugą stronę olbrzymiego gmachu więziennego do mojej celi na trzecie piętro?

Zastanawiająca solidarność!

Gdym 21-go jadł ze wstrętem zupę obiadową, byłem pewny, że następny dzień już rozpocznie zmianę tych niemożliwych stosunków pożywnym, dobrym obiadem. Ta myśl mi dodawała -- powiedziałbym — dobrego humoru. Również i pośpiech, z jakim się toczyło moje śledztwo, dodawał mi otuchy, że niebawem nastąpi jakaś zmiana.

Więzień bowiem, o ile z pobudek rozumowych zrzekł się chwilowo nadziei odzyskania zupełnej wolności, pragnie tylko jednego: zmiany w swem położeniu.

I to oczekiwanie mnie nie zawiodło Gdy na noc zaczęto zamykać wszystkie cele, dozorca mój rzekł do mnie:

»Lampy niech pan nie gasi. Ktoś tu jeszcze ma przyjść do pana«.

Byłem niesłychanie zaciekawiony i rozgorączkowany tą zapowiedzią. W pół godziny potem zjawił się w mej celi starszy dozorca, kazał mi zabrać ze sobą wszystkie moje rzeczy, t. j. kapelusz i poprowadził na dół, na pytanie nie dając odpowiedzi. Przyszliśmy do składu rzeczy, odebranych więźniom; tu z worka, noszącego mój numer, wyjął moje palto, parasol, kalosze i kazał się podpisać, że wszystkie rzeczy mi wydano. Serce mi żywiej zabiło.

»Czy jestem wolny? Czy puszczono mnie za kaucyą?«

»Nie wiem« — odrzekł starszy dozorca.

Poszliśmy do inspektora więziennego. Przez drogę robiłem jak najlepszą minę, aby się z tymi panami pożegnać. U inspektora zastałem jeszcze jakiegoś pana po cywilnemu. Pytająco spoglądam na obu, zaczynając się już domyślać, o co chodzi.

»Panie doktorze«, zaczyna pan po cywilnemu«, jestem wydelegowany tu z Poznania w celu przewiezienia pana do tamtejszego więzienia«.

Milcząco skinąłem głową.

»Jestem odpowiedzialny za pana. Spodziewam się, że w ciągu podróży nie zechce pan skorzystać ze sposobności (nb. ucieczki, ale tego słowa nie wypuścił). Właściwie powinienbym skrępować pana«.

Mówiąc to, zadwonił kajdankami, które trzymał w kieszeni.

Nie dając nic po sobie poznać, słuchałem obojętnie dalej.

»...Ale sądzę, że to jest zbyteczne«.

Wzruszyłem ramionami.

Wyszliśmy. Na dziedzińcu stał już kryty powóz, a w nim siedział jeszcze jeden komisarz poznański. Zatrzaśnięto drzwiczki i pojechaliśmy.

Dorożkarz już miał instrukcye i po chwili byliśmy na dworcu. Moi towarzysze zaprowadzili mnje do znajdującego się w gmachu stacyjnym odwachu policyjnego i uprzejmie zapytali, czy nie mam jakich życzeń. Kazałem sobie przynieść szklankę bulionu i kieliszek koniaku. Niemal z przyjemnością myślałem o podróży, zmianie więziennego gmachu i t. d.

Wsiedliśmy do osobnego przedziału, który konduktor zamknął swym specyalnym kluczem, tak, że żaden z nas nie mógł otworzyć drzwi. Moi towarzysze kupili mi gazetę jakąś, naturalnie niemiecką i tak dojechaliśmy do Poznania. Był w ciągu tej podróży pewien epizod, ale o tym nie mówię. Może kiedyś — później.

O dwunastej przyjechaliśmy do Poznania. Zaledwie w oknie naszego przedziału ukazał się jeden z komisarzy, aliści ze wszystkich punktów dworca zbiegło się przed mój wagon co najmniej dziesięciu policyantów rozmaitej szarży, wszyscy po cywilnemu. Zrobili rodzaj szpaleru, gdym wychodził, a każdy mi musiał z obowiązku zajrzeć w oczy. Zapytałem mego towarzysza, co ta komedya znaczy. Odpowiedział, że policya się obawia, aby mnie pan Biedermann nie odbił i z ich rąk nie wyrwał.

Wsiedliśmy do trzech dorożek. Dorożka pierwsza jechała dziesięć metrów naprzód, sondując widocznie drogę, ja z moim sztabem jechałem w drugiej, trzecia z pięciu agentami zamykała ten pochód. Stanęliśmy wreszcie przed bramą więzienia poznańskiego.

Pierwszą noc w Poznaniu przespałem dobrze i smacznie. Czułem się już poniekąd między swymi. Poznańskie więzienia mają swe tradycye. Jako historykowi, który specyalnie badał wypadki 1848 r. w Poznańskiem, jakoż mi było miło zasypiać wśród murów, które bodaj czy nie gościły tych samych ludzi, których nazwiska dziś ze czcią wspomina społeczeństwo poznańskie.

I nie omyliły mnie przeczucia. Już pierwszego dnia zaraz po mojem przybyciu zauważyłem u wszystkich urzędników więziennych uprzedzającą grzeczność. Tu już mnie znali wszyscy z gazet, a że pisma niemieckie zrobiły ze mnie niemal głowę całego antiniemieckiego ruchu w Poznańskiem, na Górnym Ślązku i w Westfalii, więc to wysokie mniemania o moich wpływach i znaczeniu politycznem ujawniło się odrazu we wszystkich bagate'ach codziennego życia. O sprzątaniu celi nie byio już mowy — załatwiać to za mnie począł jakiś sąsiad, posądzony o kradzież kozy. Dano mi największą celę w całem więzieniu, suchą, widną, z wielkiem oknem z sześcin matowemi szybami. Wprawdzie jeszcze trzy dni jeść musiałem więzienną strawę (zatem ogółem dziesięć dni nie miałem w ustach porządnego jedzenia lub kawałka mięsa), ale aż do chwili, dopóki nie nadeszły pieniądze na jedzenie z restauracyi, dawano mi zupę z lazaretu, pożywną, a lekko strawną, a do tego półtora litra mleka na dzień.

Zaraz nazajutrz po mojem przybyciu do Poznania przyszedł do mnie naczelnik sądownictwa poznańskiego, pierwszy prokurator, aby mi oświadczyć, że mam się zwrócić do niego, gdybym w czemkolwiek miał powód do jakiejś skargi lub niezadowolenia. Wymieniłem szereg życzeń, które niezwłocznie uwzględniono. Pierwszy prokurator, człowiek z wyższą ogładą towarzyską, zaczął rozmowę ze mną od tego, że mnie zwolnił od przepisanego »meldowania« nazwiska, tytułu i przyczyny aresztowania, gdyż, jak zaznaczył, człowiekowi mojej pozycyi towarzyskiej takie »meldowanie« przy każdej wizyaie wyższego urzędnika sprawiać musiałoby pewną odrazę.

Wszystkie przedmioty w celi (cela nosi Nr 206) dano mi zupełnie nowe, począwszy od miednicy, a skończywszy na materacu. Zresztą pozwolono mi sprowadzić własną pościel, otrzymywać dobre jedzenie z restauracyi, a nawet butelkę węgrzyna co tydzień, dla wzmocnienia sił; przy pogodzie spaceruję po dziedzińcu sam, nie w towarzystwie hołoty

złodziejskiej, nie odebrano mi palta i rękawiczek, co uważam za szczególniejsze dobrodziejstwo.

»A jakież postępy robi śledztwo?« — zapytałem Dra Rakowskiego.

Czytałem w niemieckich gazetach, które otrzymuję w więzieniu, że u pana Biedermanna zrobiono znowu kolosalną rewizyę i ze dwa kosze rozmaitych listów i t. d. zabrano; ogromnie mnie to ubawiło, domyślam się bowiem, że to pozostaje w związku z mojem śledztwem, a wiem napewno, że te papiery wszystkie już ze cztery razy były w rewizyi. Od pół roku, t. j. od czasu ostatnich rewizyi w »Pracy«, całe stosy pakietów, ponumerowanych przez sąd, czy policyę, leżały na środku pokoju u Marcina. Podczas rewizyi wszystko to na wiosnę było tak poprzewracane i przemięszane, że Marcin nie miał odwagi i czasu zabrać się do uporządkowania i tak to wszystko leżało, jak wróciło w marcu z rewizyi. Obecnie ci panowie znowu się zabrali do tej syzyfowej pracy odczytywania setek listów od abonentów, z których jedni proszą o przysłanie brakujących numerów, inni wymyślają na Prusaków, inni komunikują, ile znaleźli nowych abonentów. Ale ci panowie w policyi dla odświeżenia swych wrażeń przynajmniej dwa razy w roku muszą sobie to wszystko na nowo przeczytać. Widocznie i teraz ich taki paroksyzm opanował.

»W jaki sposób — pytam dalej więźnia — zużytkowuje pan tę możność pracowania piórem, której panu, zdaje się, poznańska dyrekcya więzienna nie obcięła?«

W zakresie pracy jestem naturalnie skrępowany, odpowiada Dr Rakowski, do czytania dostałem kompletne wydanie parlamentarnych mów Bismarka, kilka naukowych dzieł francuskich i własne dziełko ekonomiczne, które w języku niemieckim napisałem przed paru lat. Muszę więc do tego zastosować mój plan i podział pracy. Czytam Bismarka z zajęciem, zwłaszcza jego mowy z czasu kulturkampfu, gdyż aresztowanie moje oderwało mnie właśnie od ostatniego rozdziału »Historyi Księstwa Poznańskiego«, którą mam w rękopisie gotową. Z francuskich dzieł robię wyciągi, a swoją publikacyę niemiecką (niegdyś rozprawę doktorską) rozszerzam do rozmiarów zarysu ekonomicznego rozwoju Polski w XIV, XV i XVI wieku. Ale, że zawsze muszę mieć kilka warsztatów, na których snuję przędzę. więc oprócz tego pracuję nad czemś innem.

»Czy wolno zapytać, nad czem?«

Nie zaspokoję ciekawości pańskiej, odpowiedział więzień, bo to jest rzecz, do której się nieraz zabierałem, i którą nieraz porzucałem. Więc niewiem. czy i teraz tak się nie stanie.

Najwięcej cierpię nad tem, że oderwano mnie od pracy nad badaniem terenu przyszłych wyborów na Górnym Śląsku. Zrosłem się z myślą, że celem mej pracy publicystycznej w ciągu przyszłych dwóch lat będzie wywołanie przełomu na Górnym Śląsku i doprowadzenie do wybierania posłów polskich pod programem polskim, a nie centrowym. Popchnięta w tym kierunku »Praca« już do dużych pozytywnych doszła rezultatów. Pan Biederman zakłada na Śląsku specyalne pismo codzienne dla wprowadzenia w czyn tej idei, którą, rozpatrzywszy najdokładniej na gruncie lokalnym i ogólno politycznym, wobec własnego sumienia i całego społeczeństwa uznaje za dobrą i pożyteczną.

Do idei tej fanatycznie się przywiązałem i cierpię niewymownie, że mnie oderwano i zamknięto w odosobnieniu. Plaster kojący te moralne cierpienia znalazł się jednak i tu, w więzieniu: a to w postaci wiadomości od naszego mistrza Sienkiewicza, że pozwala drukować w »Pracy« swą przyszłą epopeję: »Sobieski pod Wiedniem«. Był to pierwszy list, jaki wogóle otrzymałem w więzieniu. Boże, jakąż on mi sprawił radość, i jak wdzięcznym się czułem Sienkiewiczowi.

— »Wszak »Praca« — pytam — we wszystkich sprawach wewnętrznych Polaków pod rządem pruskim zajmuje odrębne i oryginalne swe stanowisko?«

«Tak, — odpowiedział Dr Rakowski — ale też tylko w obrębie granic niemieckich zakreślamy sobie zadania i zabieramy głos. Dział mój obejmuje całe wychodźctwo polskie (pół miliona!) w Niemczech, oraz Górny Ślązk. Sprawy wewnętrzne poznańskie, zachodnio pruskie, politykę ogólną itd. obrabia kto inny. Jest zresztą cały szereg współpracowników, którzy jednak występują tylko pod pseudonymami«.

— »Czy prawda, że »Praca« przechodzi przez warszawską cenzurę?«

»Stałego debitu niema, jednak prawie wszystkie numery przechodzą swobodnie. Mamy abonentów przeważnie poznańczyków, którzy odbierają »Pracę« pod opaską. Wynika to z samego zakresu politycznej naszej pracy, że cenzura nie znajduje potrzeby stawiania jakichś przeszkód w przepuszczaniu pisma. A r t y k u ł y o w e, z a k t ó r e j a s i e d z ę w w i ę z i e n i u j a k o d o m n i e m a n y a u t o r, o b i e g ł y c a ł ą p r a s ę w a r s z a w s k ą. Zresztą usposobienie naszej ludności, którego wyrazem w pewnej mierze jak prasa, da się scharakteryzować w słowach, które już kurs zyskały: »przyszłość naszego społeczeństwa leży po tamtej stronie czarno-białych słupów granicznych«. Myśmy się nauczyli od Niemców dobrze i skrupulatnie liczyć i widzimy, że nasz bilans ekonomiczny wskutek wyższości przemysłowej Niemiec prowadzi całe prowincye polskie do pauperyzacyi. Tak zwane »dobrodziejstwa konstytucyjne» okazują się przynajmniej dla Polaków w Niemczech — gorsze od oświeconego absolutyzmu. Jako wynik porównania pozostaje: perspektywa olbrzymiego rozwoju ekonomicznego — po tamtej stronie. Widzimy przecież, jak Królestwo się rozwija olbrzymio.«

Rozmowa nasza musiała — wskutek niezależnych od nas obu okoliczności — w kilku słowach się zakończyć.

— »Kiedyż się Doktór spodziewa końca swej »afery?«

Niewiem. Uzbroiłem się w cierpliwość na jakie dwa miesiące, to jest mniej wiecej na przeciąg czasu potrzebny do do urzeczywistnienia przedsięwziętych prac. Potem zapukam do konsulatu o zajęcie się mną. Jako wobec obcego poddanego, ci panowie nie mogą zbytnio nadużywać wobec mnie swej wyższości. Artykułów rzeczonych nie pisałem, a reszta mnie nie obchodzi.

Po opuszczeniu więzienia na krótki czas wpadnę do Warszawy, a potem, o ile fundusze i czas pozwala, udam się na południe na odpoczynek. Naturelnie, że dla literata kilkomiesięczne przymusowe oderwanie od pracy pociąga przykre finansowe konsekwencye, ale nie wątpię że uda mi się w razie danym wyskarżyć od rządu pruskiego odszkodowanie za czas stracony i wszelkie inne straty

Na tem się skończyła nasza rozmowa. Wnosząc z niej, nowy ten »sensacyjny«, proces zakończy się porażką władz policyjnych i śledczych, — sądy bowiem w Prusach jeszcze o tyle o ile zachowały pewną objektywność. Jak się dowiedziałem od osób trzecich w Poznaniu, rozkaz aresztowania Dra K. Rakowskiego i wysłany za nim pół roku temu list gończy nie opierał się na żadnych zaprzysiężonych zeznaniach — lecz na domniemaniach w guście tych jakie się pojawiły w »Orędowniku« i w »Przeglądzie wszechpolskim«.

X.

Dzielna kobieta.

(Rycina na str. 262).

Zeznania i odpowiedzi kobiet »oskarżonych« o to, że nie chciały zezwolić katować drobnych dzieci, przed trybunałem gnieźnieńskim wzruszały niejednokrotnie prostotą i prawdą, siłą uczucia i wiary nieuczonej a głębokiej.

I tak n. p. żona pedela szkolnego Gadzińska: co to za dzielna kobieta!

Scena przesłuchiwania jej musiała do głębi wzruszyć każdego, bez różnicy wyznania i narodowości. Gdy przewodniczący jej się zapytał, czy to przecież nie wszystko jedno, w jakim języku dziecko uczy się religii, byle tylko ten język znało, to odpowiedziała z głęboką wiarą i przekonaniem, łkając od łez:

»Nie! bo dzieci w niemieckim języku nie zrozumieją religii, jak się to sama na swych dzieciach przekonałam. Religia jest nas, biednego ludu, całą pociechą, całą nadzieją w lepszą przyszłość, całym majątkiem! Gdy religii udzielano w języku polskim, to wiedziałam, czego się dzieci moje uczą i cieszyłam się z tego, gdy na wieczór mogłam z dziećmi usiąść przy stole i razem z niemi i katechizm i historyę świętą przechodzić. Serce mi rosło, bo i sama rozumiałam, a dziś, ani ja, ani dzieci nie rozumiemy tego, co uczą!«

I wobec takich kobiet i takich dzieci prusactwo myśli, że da nam radę!

Pancerz Szczepanika.

Kilka lat leżała ta zabawka w szafie u wynalazcy i nikt się o nią nie zapytał. Dopiero po ostatnich atentatach w Bremie na cesarza Wilhelma, w Buffalo na Mac Kinleya naraz zaczęli się zgłaszać książęta, dyrektorzy, policyanci... i pancerz ochronny stał się sławną aktualnością.

Opowiemy pokrótce co to jest. Przed kilku laty zjawił się u p. Szczepanika braciszek OO. Zmartwychwstańców Zegleń i przyniósł kawał tkaniny ze sznurków jedwabnych ręcznie wyrobionej, nawiniętej na karton. Tkanina ta stawiała



Biust Ujejskiego dłuta Popiela.



A. Popiel.

opór kulom rewolwerowym, ale nie mogła być do niczego użytą, gdyż była grubą, ciężką, twardą, niepodatną. Szczepanik, który się ciągle tkactwem zajmuje, zaczął przemyśliwać i nad tem, czyby się przecież nie dało wyrabiać ochronnej tkaniny. Wespół z Reiserem, słynnym dyrektorem szkoły tkackiej w Akwisgranie zbudowali nowy, umyślny warsztat, na którym można było już tkać makatę kulotrwałą, dosyć lekką i miękką, ale jeszcze jej nie można było spożytkować, gdyż jeżeli się cięło i szyło n. p. kamizelkę, to makata się strzępiła, a na szwach kule przechodziły. Schowano makatę do szafy. Po niejakim czasie jednak obmyślił Szczepanik nowy sposób tkania dywanów wypukłych, *en relief* i uzyskał na ten wynalazek patent. Wtedy przypomniał sobie pancerz, zastosował do jego wyrobu ten nowy wynalazek i dopiero teraz pancerz okazał się praktycznym, mogącym znaleźć wielorakie zastosowanie. Więc i na wyrób tych pancerzy, które tylko jeden Reiser utkać umie, także uzyskał patent. Z usiłowań Zeglenia nie zostało nic, prócz surowego jedwabiu. Był więc pancerz; do atelier schodzili się ludzie, zwłaszcza dziennikarze, strzelali, uderzali sztyletami, lecz nikt ani przebić ani rozedrzeć nie zdołał. I wisiałby sobie pancerz w szafie, gdyby nie mnożące się atentaty. Obecnie wiedzą już interesowani, że to świetna rzecz i zamawiają kamizele, kaftany, uniformy, paltoty, a wynalazca jeszcze dalsze wprowadza ulepszenia. Próby, doświadczenia, budowa warsztatu bardzo dużo kosztowały, więc też taki pancerz musi być drogim; ale bo też życie ludzkie także jest drogie.

Na rycinach naszych widać, jak p. Borzykowski, dyrektor patroniarni, strzela do opancerzonego urzędnika. Widać dym strzału, widać maleńkie zagłębienie, które kula zostawiła, odbijając się od miękkiego pancerza. Pokazujemy też, jak wyglądają odbite kule. Pancerz może znaleść zastosowanie, jako ochrona przeciw rewolwerom i przeciw sztyletom; umyślnie sprowadzony siłacz zmachał się i spocił, a nie zdołał przebić tej dziwnej tkaniny pilnikiem ostro zakończonym, takim samym, jakim w Genewie ś. p. cesarzową Elżbietę zamordowano. W wielkich miastach znajdzie pancerz ten zastosowanie dla policyantów, pełniących służbę w niebezpiecznych zaułkach. Parawany z tej tkaniny, a e z podkładem cieniutkiej blachy stalowej, odbijają i kule z karabinów Manlichera. Może się więc jakieś dalsze jeszcze zastosowania praktyczne okażą.

Teorya wynalazku jest ta: osobliwa tkanina z surowego jedwabiu (specyalne wiązania nici są pomysłem Reisera) sprawia, że siła uderzenia rozdziela się na boki i przez to słabnie; kula odpada, sztylet się ześlizguje, tkanina pozostaje nienaruszoną.



Jedwabny pancerz kulotrwały systemu Szczepanika.



Pancerz kulotrwały ze znakami od kul rewolwerowych.



Strzał z rewolweru kalibru 7 mm. z odległości 3 kroków do pancerza kulotrwałego, który zawieszony jest na przedmiocie twardym (kula zdeformowana zupełnie).



Strzał z odległośei 3 kroków do pancerza kulotrwałego na podkładzie miękkim (kula odpada od pancerza nie uległszy żadnemu spłaszczeniu).

Z Teatru i Muzyki.

Sezon operowy we Lwowie.

Sezon operowy, zainaugurowany wznowieniem »Manru«, przerwał się nagle z powodu niespodziewanego wyjazdu i niespodziewanego ugrząźnięcia w Warszawie pierwszego tenora, p. Aleksandra Bandrowskiego, który parotygodniową swoją nieobecnością wywołał stagnacyę całej potężnej machiny, złożonej z solistów, orkiestry i chórów. Dyrekcya znalazła się w niemałym kłopocie, z którego udało jej się wybrnąć dopiero przed kilku dniami przez zaangażowanie na gościnne występy p. Eugeniusza Guszalewicza. Nowy śpiewak po raz pierwszy wystąpił na scenie polskiej, chociaż jest Rusinem galicyjskim i stąd rozwinął skrzydła do lotu. Przed laty kształcił się w Wiedniu, śpiewał następnie w Peszcie i w Lublanie, a od sześciu lat jest pierwszym tenorem opery czeskiej w Pradze. W czwartek wystąpił p. Guszalewicz na scenie lwowskiej jako Eleazar w »Żydówce«. Debiut miał olbrzymie powodzenie, publiczność była olśniona potężnym głosem nowego bohaterskiego tenora. Równocześnie z p. Guszalewiczem debiutowała z pełnym sukcesem krakowianka, p. Wanda Otto. Portrety obojga podajemy w dzisiejszym numerze »Ilustracyi«. Dalszy ciąg sezonu ma przynieść dwie interesujące, polskie nowości operowe: operę Dłuskiego »Urvasi« i operę młodego kompozytora z Litwy, p. Skirmunta p. t. »Krzyżacy«.

Operetka żyje na razie powtarzaniem najlepszych nowości z bieżącego roku. Z tych utrzy-



Strzał do pancerza kulotrwałego systemu Szczepanika.

(w dziedzińcu gmachu Patroniarni w Wiedniu dyrektor Patroniarni Borzykowski strzela do służącego Józefa, odzianego w pancerz kulotrwały. Rewolwer 7 mm. Odległość 3 kroki).



Panna Wanda Ottówna, krakowianka.
(debiut we Lwowie 21 listopada w operze »Żydówka«)



Eugeniusz Guszalewicz.

muje się w repertuarze przedewszystkiem »Wesoła dwójka« Ziehrera, która dotąd osiągnęła około trzydzieści przedstawień. Wobec upadku tego rodzaju sztuki w ogóle, jest to sukces fenomenalny. Z wykonawców »Wesołej dwójki« we Lwowie



Henryk Rauchinger. — „STUDYUM".

wyróżnia się sympatycznie para oficerów w interpretacyi pp. Miłowskiej i Ludkiewiczównej. Obie należą do najmłodszego »narybku« artystycznego. Ostatnia z nich stawia pierwsze kroki na scenie i rokuje jaknajlepsze nadzieje, pierwsza zdobyła sobie już markę występami we Lwowie i w Warszawie, a wobec wyraźnego nerwu dramatycznego, jakim się odznacza, nie jest wykluczone, iż w przyszłości zamieni służbę pod znakiem lekkiej muzy na służbę pod znakiem Melpomeny w ściślejszem znaczeniu.

„Bajka" Schnitzlera.

Mogłoby się także nazywać: doktryna — i życie. Młody doktryner wyznaje zasadę zupełnego równouprawnienia kobiety w stosunkach erotycznych. Dlaczego tylko mężczyźnie, zawierającemu związek małżeński, nie liczą się wszystkie przygody miłosne, wszystkie upadki, błądzenia, grzechy wypływające z swobody przed ślubem? Kobieta jest tak dobrze człowiekiem ułomnym, jak on i równie dobrze po jednym i drugim błędzie może się w ogniu nowej, uświęconej kobiercem ślubnym miłości odrodzić, oczyścić, odzyskać świeżość i wiosenność duszy. Dlaczego ją specyalnie ścigać ma anatema raz popełnionego grzechu? To przesąd, zacofanie, bajka filistrów i świątobliwych kumoszek. Tak mówi doktryna. A potem przychodzi do głosu praktyka, fakt, życie i łamie doktrynera z jego deklamacyami. Schnitzler każe się takiemu panu zakochać w kobiecie, która ma już w repertoarze swoich wspomnień pocałunki i uściski miłosne innego człowieka i pokazuje odwieczny, żywiołowy dramat zazdrosnej duszy męzkiej, samolubnej, wyłącznej, despotycznej, nie znoszącej nietylko obok siebie, ale i przed sobą nikogo innego. Temat, którego korzenie gubią się w mgle meta-

fizyki, temat tak powszechnie ludzki, wyrwany z życia i popularny, byłby zainteresował nawet wtedy, gdyby go dotknęło pióro mniej wprawne, niż autora »Miłostek«. A Schnitzler dał w swoich »Bajkach« świetne dzieło sztuki, stojące niewątpliwie wyżej od wszystkich jego dotychczasowych utworów. Znakomita gra artystów lwowskiego teatru z Kamińskim w głównej roli przyczyniła się także do powodzenia sztuki.

a. c.

Z malarstwa.

W tych dniach otwarta została doroczna wystawa Tow. »Sztuka« w salach Muzeum Narodowego w Sukiennicach w Krakowie (patrz ilustracye). Wystawa liczy przeszło 100 dzieł penzla i dłuta; a wzięli w niej udział następujący artyści: Axentowicz, Boznańska, Bruzdowicz, Chełmoński, Czajkowski, Fałat, ś. p. Jasiński F., Kamocka, Laszczka, Mehoffer, Ruszczyc, Stanisławski, Tichy, Trojanowski, Weiss, Wyczółkowski, Ziomek.

Niebawem zamieścimy obszerniejsze sprawozdanie z dorocznego plonu Tow »Sztuka«, które jak słyszymy, nosi się z zamiarem urządzenia specyalnej Wystawy w gmachu »Secessyi« we Wiedniu. Oby projekt wszedł w życie — a niewątpliwie sztuka polska znowu wśród obcych wywalczy sobie uznanie.



Ofiara sprawiedliwości w Austryi:
Robert Stiller,
skazany niewinnie, uwolniony przy rewizyi procesu we Lwowie.

Pomnik Ujejskiego we Lwowie.

(patrz ilustracye na str. 270).

Dnia 8 grudnia b. r. nastąpi odsłonięcie pomnika natchnionego piewcy »Melodyi biblijnych« i »Chorału«. Pomnik jest dziełem cenionego rzeźbiarza lwowskiego A. Popiela, którego portret zamieszczamy.



„CHATA ZA WSIĄ“ W TARNOWIE.
(Zakład art. fotogr. Leona Majewskiego, Tarnów-Iwonicz).



Ferma, poświęcona hodowli strusiów.

Hodowla strusiów w Europie.

Sensacyjna wieść dochodzi nas z Francyi Południowej: oto w pobliżu Nizzy pewien zamożny i pomysłowy właściciel dóbr zaprowadził na wielką skalę hodowlę — strusiów.

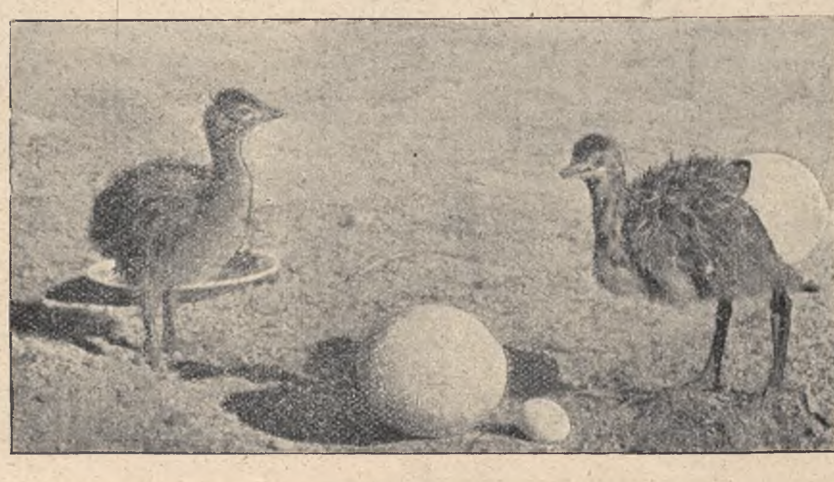
Próba to śmiała ale nie pierwsza. Ameryka wyprzedziła Europę.

Pod znakiem mody, niejeden rozwinął się już przemysł, a umysł ludzki ciągle w tym kierunku siły swe wytęża. W interesie mody w roku 1885 zrobiono tam w Ameryce pierwszy raz próbę przeniesienia i zaaklimatyzowania strusia.

Mimo pesymistyczne zapatrywania przyrodników doprowadzili dzielni jankesi do tego, że dziś, gdy ptak ten, pochodzący z Afryki południowej doskonale na obczyźnie się przyjął, produkują pióra strusie, nie różniące się niczem od piór strusich afrykańskich. Cieszcie się zatem piękne panie, że ozdoba tak wspaniała, znana i używana przez kobiety wschodu i południa już zamierzchłej w przeszłości stanie się obecnie, ze względu na cenę bezwarunkowo przystępniejszą. Struś hodowany w Ameryce, znajduje tam najlepsze warunki rozwoju — szerokie prerye, a im większy obszar po którym może swobodnie bujać, tem wspanialej i obficiej rozrastają się jego skrzydła, tem ładniejsze dają pióra. Ta swoboda, jest najważniejszym warunkiem, o czem *a contrario* przekonać się można, obserwując marne okazy strusiów w menażeryach i ogrodach zoologicznych.

Co do samej hodowli należy zauważyć, że początkowo pozostawiono wysiadywanie jaj samicom. Pokazało się jednak wkrótce, że pani strusina czy strusiowa, w piękne zdobna pióra, wolała »bywając« dużo, pokazywać je po szerokich preryach, zaniedbując przytem zupełnie obowiązki macierzyńskie. Zaprowadzono tedy sztuczne wylęgarnie, z znakomitym rezultatem. Samica strusia składa zwykle 10 do 12 jaj, z których znaczna część pada ofiarą jej strusiego apetytu, dlatego też wyjmują hodowcy jaja świeżo złożone z gniazd i umieszczają je w wylęgarniach. Przekonano się, że samica składa do 50 jaj rocznie. Młode strusięta wyglądają do 18 miesięcy bardzo niepozornie i potem dopiero zmieniają kolor upierzenia, ale też wtedy najmniej ich ginie, a hodowla strusiego drobiazgu, w tym okresie czasu, wymaga ogromnych starań i zachodów. Zato struś, w drugim roku życia, staje się już ogromnie odpornym — i może żyć trzydzieści do czterdziestu lat — opowiadają nawet o stuletnich strusiach.

W drugim już roku życia, pozbawiają go hodowcy po raz pierwszy, jego stroju — wspaniałych piór i powtarzają tę operacyę co 6 miesięcy. W ten sposób zyskuje się z każdego samca, w ciągu dwóch lat funt piór najprzedniejszego gatunku i kilka kilogramów piór mniejszych. Wyrywanie piór nie sprawia ptakowi żadnego bólu, mimo to opierają się strusie temu rabunkowi i bronią swej ozdoby energicznie. Trzeba nadmienić, że dorosły struś waży od 300 do 400 funtów, a uderzenie jego łapy, uzbrojonej potężnymi pazurami, może bardzo łatwo zabić człowieka. Z tego powodu, odbywa się operacya wyrywania piór, z należytemi przygotowaniami i ostrożnością. Przed terminem operacyi spędza się strusie w odpowiednie zagrodzenia i umieszcza każdą sztukę osobno. Potem nakładają hodowcy na głowę każdego ptaka, w chwili operacyi, specyalnie przyrządzony kaptur i przystępują do wyrywania piór najlżej osadzonych. Ciężkie lotki obcina się ostrożnie nożycami. Za przykładem Ameryki zaprowadzają teraz Francuzi racyonalną hodowlę tego cennego ptaka, korzystając z prób i praktyki pomysłowych jankesów.



Młode strusie, ledwo wyklute z jaja.

Nareszcie jeszcze jeden szczegół, z życia tego ptaka.

Oto struś nigdy nie da się zupełnie obłaskawić, jakkolwiek nieraz słyszeć można o wózkach ciągniętych przez strusia i strusiach pod wierzch używanych. Wyuczyć można go tych sztuk — to rzecz pewna, mimo to jednak zdarza się często, że taki obłaskawiony struś, rzuca się na swego dozorcę. Tak więc hodowla połączona jest wprost z niebezpieczeństwem dla życia dozorców. Ale moda żąda piór i płaci za nie, a czego ludzie nie zrobią dla miłego grosza?

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.